

# JAK PRL POGRAŻYŁA POLSKIEGO GENIUSZA KOMPUTEROWEGO

KOMPUTERY

Piątek, 25 marca 2011 (14:20)

Polska dała światu niedocenionego geniusza elektroniki - Jacka Karpińskiego. Jego fascynująca historia pokazuje, jak władza ludowa PRL nie potrafiła wykorzystać tak niesamowitego talentu.



Jacek Karpiński - największy polski geniusz komputerowy XX wieku, prawdziwy patriota . Niedoceniony /Foto: East News

Wśród asów światowej branży komputerowej nie brak nazwisk, które brzmią swojsko w naszych uszach. Znaście Jacka Tramiela/Trzmiela, na pewno słyszeliście też o niejakim Stevie Wozniaku. Ale czy wiecie, że była szansa, by największą gwiazdą w tej dziedzinie, większą niż Gates i Jobs razem wzięci, został polski inżynier Jacek Karpiński?

Nasz bohater urodził się w 1927 roku... w Turynie. Jego rodzina po paru latach powróciła do Polski, a Jacek zawsze deklarował, że urodził się Polakiem i Polakiem umrze. I miał ku temu sporo okazji, gdyż po wybuchu II wojny światowej działał w konspiracji, w Szarych Szeregach. Zaczynał od aktów sabotażu, by awansować do grup szturmowych i wreszcie słynnego batalionu "Zośka". Na jego piersi trzykrotnie zawisł Krzyż Walecznych (plus jeszcze kilka innych odznaczeń). W powstaniu warszawskim został bardzo ciężko ranny w kręgosłup.

## **Zdolny fachowiec, ale z AK...**

W roku 1946, ledwo wyleczywszy się z ran, został studentem Politechniki Łódzkiej. Tam połknął bakcyła informatyki. W 1951 roku z tytułem magistra inżyniera opuścił uczelnię z głową pełną pomysłów.

Niestety, AK-owska przeszłość sprawiła, że gdziekolwiek się zatrudnił, szybko okazywało się, że jego stanowisko akurat ulega redukcji... Dopiero w połowie lat 50. ten zdolny inżynier znalazł pracę, w której doceniono prezentowany przez niego potencjał (Instytut Podstawowych Problemów PAN).

[Artykuł pochodzi z magazynu CD Action - numer 04/2011](#)

Początkowo współtworzył pierwsze aparaty do ultrasonografii (USG), ale szybko pokazał pazur, konstruuąc AAH (Analogowy Analizator Harmonicznych [Fouriera]), czyli rodzaj komputera służącego do długoterminowego prognozowania pogody.

Wkrótce udowodnił, że stać go na dużo więcej, tworząc AKAT-1, pierwszy na świecie tranzystorowy analizator układów różnicowych. Ta konstrukcja sprawiła, że Polska Akademia Nauk nominowała go jako polskiego kandydata do światowego konkursu UNESCO dla młodych naukowców.

Karpiński zdemolował rywali i zdobył jedno z sześciu stypendiów, dzięki czemu studiował na Harvardzie i w mekce ówczesnej informatyki, czyli amerykańskim MIT (Massachusetts Institute of Technology).

Czym się tam wykazał, tego dokładnie nie wiemy, dość, że po 2 latach zachwyceni Amerykanie zaproponowali mu stały etat. Karpiński jednak uważał, że nie po to walczył i przelewał krew za Polskę, by ją porzucić i pracować dla innego kraju.

Po powrocie do ojczyzny wena go nie opuszczała. Zatrudniwszy się w Pracowni Sztucznej Inteligencji w Instytucie Automatyki PAN, stworzył tzw. perceptron, czyli rodzaj samouczącej się sieci neuronowej, opartej na 2000 tranzystorów, umiejącej rozpoznawać otoczenie za pomocą kamery. Była to druga taka konstrukcja na świecie.

Z bliżej jednak nieznanym powodów (czytaj: zapewne z ludzkiej zawiści) znów zaczął mieć rozmaite problemy w pracy i jego projekt nie był kontynuowany. (Chociaż trzeba tu dodać, że imię Karpiński język miał niewyparzony - walił prosto w oczy to, co myślał, i kłaniać się w pas władzy ludowej i przełożonym nie lubił, co na pewno nie pomagało mu w karierze).

W 1965 roku przyprawił parę osób o ból głowy, wyskakując przed szereg z projektem KAR-65 - minikomputera pracującego z prędkością 100 tysięcy operacji na sekundę. Był on nie tylko 2 razy szybszy niż ówczesna duma polskiej informatyki, czyli komputer Odra, ale też 30 razy tańszy w produkcji!

W normalnym kraju twórca takiego osiągnięcia już wtedy zostałby milionerem. Ale że to był PRL, komputer wyprodukowano w liczbie sztuk - UWAGA - 1! Egzemplarz ten wykorzystywany był aż do lat 80. w Instytucie Fizyki UW. Dlaczego tak się stało? O tym za chwilę, gdy dojdziemy do największego skandalu w dziejach polskiej informatyki, a być może i polskiej nauki w ogóle.

## **Tego się nie da zrobić!**

W 1969 roku Jacek Karpiński zaszokował otoczenie, twierdząc, iż da radę skonstruować minikomputer mieszczący się w walizce i mogący pracować w dowolnych warunkach. Przypomnijmy, że wówczas komputery były ogromnymi pudłami wielkości solidnych szaf na ubrania, pracującymi w specjalnie klimatyzowanych pomieszczeniach, obsługiwany przez rzeszę pracowników w białych fartuchach.

Zebrała się specjalna komisja, składająca się z naukowców (czy może raczej "naukowców") i partyjnych notabli. Po głębokim rozważeniu problemu, czyli zapewne wypiciu herbaty Ulung i zerknięciu na portrety Lenina oraz Marksa, komisja orzekła, że... takiego komputera skonstruować się nie da. A koronny argument intelektualnej elity socjalizmu brzmiał mniej więcej tak: "Gdyby to było możliwe, Amerykanie już dawno by to zrobili". Krótko mówiąc: "Obywatelu, nie zwracajcie nam gitary i nie marnujcie swego i naszego czasu na jakieś brednie rodem z filmu fantastycznego. Komputer w walizce? To może jeszcze bezprzewodowy telefon wymyślicie?"

Jacek Karpiński był jednak człowiekiem upartym. Razem z kilkoma takimi jak on zapalciecami opracował projekt komputera, który objawił się światu na początku lat 70. XX wieku jako K-202.

Nauczony doświadczeniem inżynier plany owej maszyny pokazał w 1971 nie Polakom, a Anglikom w Londynie. Tym opadły z wrażenia szczęki i natychmiast chcieli zacząć jego produkcję. Jacek Karpiński, którego 25 lat życia w PRL nadal nie wyleczyło z romantycznego patriotyzmu, oświadczył, że zgoda, ale pod warunkiem, że produkcja będzie miała miejsce w Polsce, żeby jego kraj miał z tego korzyści.

## **Bo, wicie, on za dobry jest...**

Gdy Anglicy zwrócili się do rządu PRL z oficjalną prośbą o umożliwienie im produkcji K-202 w kooperacji z polskim przemysłem, nie dało się już powiedzieć "tego się nie da zrobić" ani zamieść sprawy pod dywan. Szczególnie że ówczesny partyjny "number one" w PRL dał projektowi zielone światło. Chcąc nie chcąc (acz raczej nie chcąc, z powodów, które zaraz wyłuszczyć) rozpoczęto więc produkcję K-202 w zakładach Era pod kierownictwem jego twórcy.

Pierwsze egzemplarze komputera trafiły wkrótce do polskich fabryk i zakładów badawczych, budząc wielki entuzjazm użytkowników. I to był właśnie gwóźdź do trumny K-202. Dlaczego? Ponieważ był: za dobry, za szybki, za łatwy w produkcji i za tani (ok. 1800 dol./sztuka). Serio.

W Polsce tworzono już przecież ociążałe Odry oraz radziecki system komputerowy (mainframe), bazujący na klonach IBM-360, zwany RIAD. Co z tego, że były większe, gorsze, wolniejsze i dużo droższe niż K-202? A kogo w socjalizmie obchodziły realne koszty i paskudne kapitalistyczne wymysły, takie jak zysk czy rentowność? Liczyło się wykonanie i przekroczenie planu produkcji, sprawozdawczość, no i to, żeby każdy koniecznie miał pracę.

## Człowiek i świnie I



K-202 - to mógłby być absolutny hit /materiały prasowe

K-202 burzył tę misterną układankę. Mogło się okazać, że masa dyrektorów, kierowników (wszyscy naturalnie z PZPR, bo tylko partyjni mogli być na stanowiskach kierowniczych w dużych firmach) jest całkowicie zbędna. A liczące tysiące osób zakłady - niepotrzebne, gdyż wystarczy zatrudnić kilkudziesięciu, góra dwustu, ludzi do montażu K-202.



Powiało grozą. Imperium zaczęło więc kontratakować. Zaczęły się interwencje na wysokim szczeblu, naciski, telefony w stylu: "Wicie, rozumiecie, towarzyszu, tu taki jeden AK-owski prowokator bruździ, szkodzi, nie pozwala planu wykonać, z burżuazyjnymi wyzyskiwaczami się zadaje" itd. W efekcie, gdy wytworzono już jakieś 30 egzemplarzy komputera, z czego połowa trafiła do Anglii, nagle spadł grom z jasnego nieba.

Dosłownie z dnia na dzień zdecydowano: "produkcję K-202 zakończyć w trybie natychmiastowym!". Jacka Karpińskiego siłą wyprowadzono poza teren zakładu (!), częściowo zmontowane 200 egzemplarzy K-202 komisyjnie zniszczono, a Anglikom oświadczone, że mogą "spadać na drzewo", bo w PRL coś takiego jak K-202 przestało istnieć raz na zawsze. Do widzenia!

Żeby Karpińskiemu nie przyszły do głowy inne, równie szkodliwe pomysły, to zabroniono mu pracować w branży informatycznej oraz uniemożliwiono wyjazd za granicę. Nawet wówczas, gdy Amerykanie zaoferowali mu prestiżowe stanowisko konsultanta głównego projektanta komputerów w jednej ze swych korporacji, władza ludowa odpowiedziała twardym "nie!". Zniechęcony konstruktor po paru latach tułania się po rozmaitych dziwnych instytucjach, gdzie głównie przekładał papierki na biurku, zajął się czymś, na co władze PRL patrzyły bardzo życzliwie - hodowlą świń.

Nic więc dziwnego, że kiedy jakaś zabląkana reporterka zapytała go, dlaczego się zajmuje tak niepasującą do jego wykształcenia i możliwości pracą, Jacek Karpiński odrzekł z goryczą mniej więcej tak: "Bo wolę mieć do czynienia z takimi świniami". I w ten zbożny sposób spędził kilka następnych lat...

Kiedy w 1980 roku powstała "Solidarność" i zaczęto drążyć rozmaite "ciemne sprawy", znów zrobiło się o nim głośno. Stał się przykładem na to, jak "poprzednia ekipa" (bo naturalnie winni byli ludzie, a nie ustrój) trwoniła potencjał Polski i Polaków. Nie żeby zaraz dać mu znów szansę pracy w wyuczonym zawodzie czy wznowić produkcję K-202... "No, nie przesadzajmy z tą całą liberalizacją, towarzysze". Ale pozwolono mu... emigrować. Po czym zapewne odetchnięto z ulgą - "w końcu problem z tym wichrzycielem mamy z głowy"...

## **Wieczny tułacz**

Inżynier wyjechał do Szwajcarii, gdzie zatrudnił się w firmie prowadzonej przez Jacka Kudelskiego, Polaka, który mając 12 lat, trafił tam w 1939 roku wraz ze swoją rodziną i nie był na tyle głup... romantyczny, by po wojnie chcieć pracować dla dobra PRL. Mieszkając w normalnym kraju i mając łeb na karku, szybko zrobił karierę i majątek, produkując profesjonalne przenośne magnetofony, chętnie wykorzystywane przez reporterów wszelkiej maści, marki Nagra. (To od "nagrać", jakby ktoś był ciekawy genezy nazwy).

W "krajnie Milki", po paru latach pracy dla Kudelskiego, Jacek Karpiński założył własny biznes. W tym czasie skonstruował m.in. robota sterowanego głosem oraz ręczny skaner Pen Reader. Było to urządzenie wielkości długopisu, pozwalające skanować dokumenty z jakością zbliżoną do skanerów stacjonarnych. Głównym zastosowaniem Pen Readera było przenoszenie treści "papierowych" faktur, listów przewozowych itp. do komputera.

I pewnie Karpiński zrobiłby na tym niezły interes, ale... był już rok 1990. W Polsce zawalił się socjalizm. Zatem można było wrócić do ukochanego kraju i pracować dla jego dobra, prawda?

Uhonorowany przez władze RP tytułem "doradcy do spraw informatyki", zaczął rozkręcać produkcję Pen Readera (oraz przy okazji kas fiskalnych). Na to jednak potrzebne były pieniądze. I to duże. By je zdobyć, Jacek Karpiński zastawił wszystko, co miał (czyli **dom**). Niestety, co jest typowe w tej branży, był znacznie lepszym konstruktorem niż biznesmenem.

[Artykuł pochodzi z magazynu CD Action - numer 04/2011](#)

Wszedł w spółkę z dość nieciekawymi ludźmi, a do tego zapewne niezbyt uważnie czytał wydrukowane małą czcionką warunki umowy. W efekcie, gdy produkcja Pen Readera ledwo zaczęła się rozkręcać, bank... odmówił wypłacenia kolejnej transzy kredytu.

Z niezależnych powodów (czytaj: cwaniactwa i braku odpowiedzialności współników) nie wypalił też biznes z kasami fiskalnymi. I tak Jacek Karpiński został na lodzie - bez domu (przejętego przez bank za niespłacenie pierwszej raty) i z masą długów, które przez wiele lat oddawał. Wszystko, a jakże, w majestacie prawa i jak najbardziej zgodnie z przepisami...

Zrujnowany i emerytowany już konstruktor dorabiał sobie, projektując witryny internetowe, ale ciągle nie składał broni, mimo że zdrowie już mu nie dopisywało.

Stworzył specjalny skaner dla audytorów finansowych oraz rozpoczął pracę nad technologią rozpoznawania mowy przez komputer. Powoli zaczął wychodzić na prostą (spłacił długi, dorobił się mieszkania). Niestety, śmiertelna choroba zakończyła jego ziemską tułaczkę - konstruktor zmarł w lutym 2010 roku.

## **Człowiek i świnie II**

W odróżnieniu od osób opisywanych przeze mnie w poprzednich numerach CDA (Jack Tramiel czy Clive Sinclair), Jacka Karpińskiego nie pokonała własna pycha i chore ambicje czy brak wyczucia potrzeb rynku. Chciałoby się powiedzieć, że zwyciężył go niereformowalny ustrój i jego tępawe sługusy, ale niestety to tylko część prawdy.

Wielki konstruktor poległ raczej w walce z ogólną miernością i małością, w starciu z ludźmi, którzy (niezależnie od ustroju) nie sięgali mu do pięt. Majątek rodziny Jacka Kudelskiego szacowany jest obecnie na jakieś 200 mln dolarów. Gdyby Jacek Karpiński poszedł jego drogą - czyli pozostał za granicą - zostałby zapewne milionerem i supergwiazdą informatyki. Ale był nieuleczalnym patriotą. Polska - i ta socjalistyczna, i ta kapitalistyczna - odpłaciła mu bezdusnością i podłym cwaniactwem. Świnie wygrały.

## **Smuggler**

Czytaj więcej na [http://nt.interia.pl/komputery/news-jak-prl-pograzyla-polskiego-geniusza-komputerowego,nId,691311,nPack,2#utm\\_source=paste&utm\\_medium=paste&utm\\_campaign=other](http://nt.interia.pl/komputery/news-jak-prl-pograzyla-polskiego-geniusza-komputerowego,nId,691311,nPack,2#utm_source=paste&utm_medium=paste&utm_campaign=other) 170513

Czytaj więcej na [http://nt.interia.pl/komputery/news-jak-prl-pograzyla-polskiego-geniusza-komputerowego,nId,691311#utm\\_source=paste&utm\\_medium=paste&utm\\_campaign=other](http://nt.interia.pl/komputery/news-jak-prl-pograzyla-polskiego-geniusza-komputerowego,nId,691311#utm_source=paste&utm_medium=paste&utm_campaign=other)